

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

SUSAN WIGGS

A między nami ocean...

*„Wielowątkowa,
do głębi poruszająca
opowieść o trudnych
życiowych wyborach.”*

NORA ROBERTS



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Susan Wiggs

A między nami ocean...

Przełożyła
Barbara Kośmider

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nieszczęśliwy wypadek

Nieszczęśliwy wypadek: Niezaplanowane lub nieoczekiwane wydarzenie, którego skutkiem jest choroba zawodowa, śmierć, strata materialna lub szkoda. Również jakikolwiek wybuch, niezależnie od jego rezultatów.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lotniskowiec Dominion (CVN-84)

Położenie: 0037 Północ 17820 Zachód

Szybkość: 33 węzły

Godzina: 10:25 wieczorem

Steve Bennett zerknął na ekran komputera i stwierdził, że o tej porze powinien już dawno smacznie spać na swojej koi. A tymczasem nadal siedział przy biurku. Oparł stopy o jego kant, splótł dłonie na karku i wlepił wzrok w kalendarz ze zdjęciami z pięknego stanu Waszyngton. Wciąż myślał o Grace.

Był piętnaście tysięcy kilometrów od domu, na lotniskowcu, i miał do czynienia z nieoficjalną przerwą w kontaktach, zainicjowaną właśnie przez Grace. Jego własną żonę. Matkę jego dzieci. Kobiętę, która z własnej woli nie odezwała się do niego ani razu, od kiedy wysłano go w morze.

Utrzymywała ciszę w eterze jak dobry szpieg w czasie wojny. Owszem, przesyłała komunikaty na temat dzieci oraz czasami jakieś sprawozdania, lecz były takie zdawkowe, że Steve wołałby nigdy

nie dawać jej legalnego upoważnienia do zarządzania wszystkim podczas jego nieobecności.

Rejs dobiegał końca i Steve po raz pierwszy myślał z niechęcią o powrocie do domu. Nie miał pojęcia, czy uda się im uratować ich małżeństwo.

- Kapitanie Bennett? - W drzwiach stanął oficer administracyjny. W jednej ręce trzymał notatnik, a w drugiej małego laptopa.

- Słucham, poruczniku Killigrew?

- Panna Francine Atwater chce się z panem widzieć.

Bennett ukrył zniecierpliwienie. Prawie zapomniał o tym spotkaniu. W głębi wielkiego lotniskowca nie istniały dnie i noce - wszystko było stale skąpane w sztucznym świetle jarzeniówek, mechanicznie oczyszczane powietrze miało zawsze ten sam zatechły zapach, a cały okręt trząsł się z powodu niemal bezustannie startujących i lądujących samolotów.

- Proszę ją wprowadzić. - Bennett wstał i przyjął sztywną postawę nabytą w ciągu dwudziestu sześciu lat służby w marynarce, a Killigrew po chwili wrócił z reporterką. Steve wolałby spotkać się z nią w sali konferencyjnej na pokładzie numer 1, lecz panna Atwater najwyraźniej miała ochotę poznać wszelkie aspekty życia na pokładzie

lotniskowca. W tych czasach dziennikarze pchali się wszędzie. Nawet na pole bitwy.

Francine Atwater. Francine. Członkini „nowych mediów”, która aż się paliła, żeby wykorzystać rozluźnienie przepisów w zakresie rozpowszechniania informacji dotyczących wojska. Została oficjalnie przetransportowana na pokład i podobno zamierzała spędzić dwa tygodnie w tym pływającym mieście z własnym lotniskiem. Osobiście powitał ją zarówno szyper Dominiona, jak również kapitan Mason Crowther, dowódca Grupy Lotniczej, po czym obaj szybko się dziewczyny pozbyli. Teraz musiał się nią zająć Steve.

- Panno Atwater, jestem kapitan Steve Bennett, zastępca dowódcy. - Steve usiłował nie pożerać jej wzrokiem, ale od wielu miesięcy nie widział kobiety cywila. A na dodatek w spódnicy. W myśli złożył gratulacje geniuszowi, który wynalazł nylonowe pończochy i szminkę w malinowym kolorze.

- Miło mi pana poznać, kapitanie Bennett. - Lśniąca od błyszczyku wargi rozchyliły się w uśmiechu.

Czarująca, pomyślał Bennett, gdy lekko przechyliła głowę i spojrzała na niego spod długich rzęs. Dostrzegł też lekkie cienie pod jej starannie

umalowanymi oczami, dobitnie świadczące o zmęczeniu. Prawie każdy, kto niedawno przybył na lotniskowiec, zazwyczaj cierpiał z powodu hałasu na bezsenność oraz zmagał się z chorobą morską.

- Witam panią na pokładzie.

- Widzę, że już pana oświecono na mój temat. - Ruchem głowy wskazała plik notatek przyniesionych przez porucznika.

- Oczywiście.

- Co za niespodzianka. Chyba już wszyscy na tym okręcie wiedzą o mnie więcej niż moja własna matka. Znają moją grupę krwi, numer buta, wygląd zewnętrzny, stopień z biologii na pierwszym roku studiów...

- To standardowa procedura, proszę pani. - Nawet z uszmińkowanymi ustami i w nylonowych pończochach, media nie wywierały na wojsku wielkiego wrażenia. Steve musiał jednak przyznać, że imponuje mu postawa panny Atwater, zwłaszcza w tych pantoflach na siedmiocentymetrowych obcasach. Cywilom polecano, aby na pokładzie nosili praktyczną odzież i obuwie, lecz najwyraźniej nikt nie chciał, aby Francine zdjęła szpilki.

Nagle rozległ się ogłuszający hałas, a zaraz po nim wielki huk i okręt zadygotał. Panna Atwater

lekko się zachwiała i Steve odruchowo ją przytrzymał.

- Proszę mi powiedzieć, że do tego przywyknę.

- Lepiej, żeby tak się stało. Samoloty startują i lądują bez przerwy, dzień i noc. Nic tu się nie zmieni. - Steve wyjął z szuflady biurka plastikowy woreczek. - Proszę. Zawsze mam duże zapasy.

- Korki do uszu? - Francine schowała woreczek do teczki. - Dziękuję.

Steve gestem zaprosił ją, aby usiadła. Panna Atwater zajęła miejsce z boku biurka, postawiła obok niego teczkę i wyjęła z niej malutki cyfrowy magnetofon. Następnie oszacowała całe pomieszczenie uważnym spojrzeniem, jakby w pamięci notowała wszystkie przedmioty osobiste należące do Steve'a. Zupełnie jak radar, przemknęło mu przez myśl.

- Ma pan piękną rodzinę.

- Dziękuję.

- W jakim wieku są dzieci?

- Brian i Emma to bliźniaki. Są w maturalnej klasie. Katie jest w dziewiątej. A to Grace, moja żona. - Pod przykrywką tych zwięzłych zdań kryło się morze cierpienia i nadziei, lecz Bennett starał się tego nie ujawnić. Codziennie patrzył na tę fotografię i usiłował wymyślić jakieś sensowne

rozwiązanie. Do tej pory nigdy niczego przed żoną nie ukrywał, więc teraz nie miał pojęcia, jak naprawić wyrządzoną przez siebie szkodę. Każdy inny mąż po prostu wróciłby do domu, zabrał żonę na elegancką kolację i powiedział: „Słuchaj, kochanie, prawda jest taka, że...”. Ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę, gdy człowiek jest pośrodku wielkiego oceanu.

Bennett zresztą czasami się zastanawiał, czy w ogóle chce wszystko naprawić. Do licha, przecież uczynił to, co należało, aby Grace nie zranić, a ona wcale tego nie doceniła.

To zdjęcie zostało zrobione na wyspie Mustang, gdy stacjonował w Corpus Christi. Cała ich czwórka, o twarzach zarumienionych świeżą opalenizną, radośnie uśmiechała się od ucha do ucha.

- Wspaniałe ujęcie - pochwaliła panna Atwater. - Wyglądają jak ludzie, których nigdy nie spotyka nic złego.

Interesujące stwierdzenie, pomyślał. Aż do tego ostatniego rejsu pewnie by się z nią zgodził. Grace i dzieciaki wyglądali jak typowa amerykańska rodzina, taka prosto z telewizyjnej reklamy.

- Jak to jest być tak daleko od nich przez całe długie miesiące?

A jak się jej, u diabła, wydawało? Że to piknik?

- Jest ciężko. Na pewno usłyszysz to pani od wielu marynarzy. Przykro, gdy człowiek widzi pierwsze kroki swojego dziecka lub jego wygrany mecz tylko na ekranie komputera. - Steve żałował, że nie przygotował się lepiej do pytań tej panny ciekawskiej. Nie powinien ujawniać żadnych emocji. Zdaniem Grace był w tym mistrzem.

Panna Atwater przyjrzała się kolejnemu zdjęciu, w lekko zdeformowanej ramce, zrobionemu prawie dwadzieścia lat temu.

- Ale powroty są słodkie - mruknęła, patrząc na wyblakłą fotografię.

Nie mógł sobie przypomnieć, kto ją zrobił, ale z bolesną jasnością pamiętał tamtą chwilę. Właśnie wrócił z pierwszego rejsu po ślubie. W tle rysowała się szara sylwetka lotniskowca, a marynarze, oficerowie i cywile tworzyli zwartą grupę ludzi splecionych powitalnymi uściskami. Ta nieopisana radość była zrozumiała tylko dla rodzin, których członkowie należeli do sił zbrojnych. Na pierwszym planie on i Grace obejmowali się tak mocno, że nadal, po tylu latach, niemal czuł ją w ramionach. Przygarnął ją do siebie tak gwałtownie, że aż uniósł w powietrze i jeden z pantofelków na

wysokich obcasach zsunął się z jej wąskiej stopy. Nadal pamiętał, jak Grace wtedy pachniała.

Od tamtego dnia miało miejsce wiele rozstań i powrotów. Pamiętał je wszystkie po kolei. Grace w ciąży z bliźniakami, tym razem w adidasach, których nie mogła zasnuować, bo miała takie spuchnięte nogi. Grace popychająca podwójny wózek, który nie mieścił się w drzwiach. W tym czasie pachniała głównie środkami do pielęgnacji niemowląt oraz przeciwkaszlowymi dropsami. W późniejszych latach poświęcała prawie cały czas dzieciom - wozila je na lekcje muzyki, zajęcia sportowe i zbiórki skautów. Ale zawsze zjawiała się na molo, aby powitać męża po powrocie z rejsu. A przecież były takie żony, które zdradzały swoich partnerów, gdy przebywali na morzu. Niejeden taki biedny frajer najpierw długo sterczał na przystani, czekając na żonę, a później zarzucał marynarski worek na ramię i pogwizdując, z udawaną nonszalancją ruszał prosto do najbliższego baru.

Wczoraj minęły czterdzieste urodziny Grace. Steve zatelefonował, lecz ona nie odebrała, więc tylko zostawił wiadomość. Grace zresztą była ostatnio taka przewrażliwiona na punkcie swojego wieku. Pewnie nawet wolałaby, aby jej o nim nie przypomiano.

Reporterka zaczęła wypytywać Steve'a o jego pochodzenie, karierę w marynarce oraz rolę na lotniskowcu. Słuchała uważnie, robiła notatki w małym notesie z żółtymi kartkami oraz nagrywała odpowiedzi. Steve w pewnej chwili zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że rozmawiał z nią o swojej rodzinie prawie przez godzinę. Zastanawiał się, czy nie ujawnił zbyt wiele. Czy Amerykanie naprawdę musieli się dowiedzieć, że jego życie zaczęło się sypać?

- Podobno mam panią zapoznać z przebiegiem nocnych lotów. - Steve nie miał pojęcia, jakim cudem uzyskała zgodę na obserwowanie operacji z pokładu startowego, i to na dodatek w nocy. Ten reportaż widocznie był bardzo ważny dla dowództwa.

- Czekam na to z niecierpliwością.

Panna Atwater ożywiła się w sposób specyficzny dla ludzi, którzy uwielbiają lotnictwo - im bardziej wyrafinowane technicznie i niebezpieczne, tym lepiej. A lotnicze operacje na pokładzie lotniskowca zaliczały się do tych najbardziej niebezpiecznych.

Steve był wykończony, lecz mimo to się uśmiechnął, bo dziennikarka niewątpliwie podzielała jego entuzjazm.

- Kiedyś zamierzałam iść do wojska i nauczyć się latać. - Jej oczy zalśniły. - Ale okazało się to za dużym wyzwaniem.

- Bywa tak w przypadku wielu ludzi. - Powiedział to bez cienia przygany lub dumy. Po prostu stwierdził fakt. Marynarka Stanów Zjednoczonych wymagała od człowieka połowy jego życia. On sam należał do niej od dnia swoich osiemnastych urodzin. I połowę swojej dwudziestosześcioletniej służby spędził na morzu. Takie poświęcenie miało swoje plusy, lecz także wielkie minusy. Niedawno właśnie zaczął zdawać sobie z tego sprawę.

Przy drzwiach zauważył kątem oka, że dostał mejla. Nie zamierzał jednak sprawdzać teraz, od kogo. Wolał, aby reporterka nie czytała przez jego ramię, gdyby chodziło o sprawę osobistą.

Poprowadził pannę Atwater wąskim przejściem wykafelkowanym na niebiesko. Uprzedził, aby uważała na wystające z podłogi metalowe blokady między poszczególnymi przegrodami. Na ścianach korytarza wisiały niezliczone czerwone szafki ze sprzętem przeciwpożarowym i odzieżą ochronną. Najmniejsza iskra mogłaby spowodować kolosalny pożar, który pochłonąłby połowę okrętu, gdyby ogień pojawił się w trudnym do kontrolowania miejscu.

Steve mówił przez ramię, ale nie był pewien, ile z jego słów trafiało do uszu reporterki, ponieważ wszystko zagłuszał ryk silników, hałasy dochodzące z maszynerii oraz niesamowity huk i zgrzyt, ilekroć lądował kolejny samolot. Prowadzenie normalnej rozmowy było w tych warunkach niemożliwe. Marynarze, którzy akurat mieli przerwę, patrzyli na Francine Atwater ze zdumieniem. Gapiły się na nią nawet kobiety – inaczej niż mężczyźni, bez ich nieskrywanego pragnienia w oczach, lecz jakby z żalem i odrobiną pogardy. W służbie dla ojczyzny kobiety musiały obywać się bez makijażu, lakieru do włosów oraz bez cienia próżności.

Panna Atwater bez wahania wdrapała się po stalowej drabince, choć chyba żałowała, że nie ma na sobie spodni i butów na grubych zelówkach.

- Musimy się przebrać – oznajmił Steve, gdy minęli hangar z zaparkowanymi samolotami o złożonych skrzydłach i znaleźli się pod sterownią pokładu startowego. Ryk silników był tutaj jeszcze bardziej ogłuszający. - Proszę. - Podał jej kombinezon i trzewiki.

- Przeszłam szkolenie w zakresie bezpieczeństwa. - Panna Atwater usiadła i zsunęła z nóg pantofle, na moment odsłaniając drobne stopy

w nylonowych pończochach. - Przez wiele godzin wbijano mi do głowy mnóstwo przepisów.

- Marynarka uwielbia szkolić - przyznał Steve. Dobrze pamiętał niekończące się wykłady i całe litanie instrukcji, które musiał sobie przyswoić w ciągu wieloletniej służby. - Ale w tym przypadku mam nadzieję, że słuchała pani uważnie. - I zaraz uznał, że pewnie nie słuchała, więc wyrecytował listę potencjalnych zagrożeń na pokładzie startowym. Człowiek może zostać wessany do silnika samolotu. Potężny wydmuch z silnika mógł wyrzucić człowieka nawet za burtę. Steve na własne oczy widział dobrze zbudowanych mężczyzn odbijających się jak piłki od pokładu aż do jego krawędzi. Druk zaczepiający o hak w ogonie samolotu mógł się zerwać i smagnąć z taką siłą, że obciąłby komuś nogi. Kołujące po pokładzie samoloty, szybkojezdne żółte traktorki, pękające blokady startowe - wszystko to było potencjalnym zagrożeniem.

Steve odruchowo dotknął szyi. Zawsze nosił medalik ze świętym Krzysztofem. I natychmiast sobie przypominał, że zgubił ten przynoszący szczęście amulet, choć od pierwszego rejsu nigdy się z nim nie rozstawał. Trudno. Dobrze, że przynajmniej już nie latał.

Aby zmienić tok myślenia, spojrział na tablicę z wiadomościami dla jednej z eskadr. Były na niej drobne ogłoszenia o przedmiotach do wymiany lub sprzedaży, godziny wyświetlania filmów, a nawet zaproszenie na piknik, podczas którego miało wystąpić kilka zespołów muzycznych. Personel pokładowy usiłował egzystować normalnie w wysoce ni-enormalnych warunkach.

Nie zawsze się to udaje, pomyślał Steve.

Po zmianie odzieży Francine Atwater wyglądała zupełnie inaczej niż przedtem. Lśniący szary kombinezon, biała trykotowa bluza i buty o stalowych czubkach zamaskowały urodę reporterki. Teraz piękne były tylko jej wielkie, piwne oczy.

Steve pokrótce wyjaśnił, jak działa kamizelka ratunkowa. W skład wyposażenia wchodziła latarka sygnalizacyjna, paczka chemicznego barwnika do znakowania wody, raca oraz gwizdek.

- A to jest urządzenie dla CZB - dodał, wskazując nadajnik wielkości telefonu komórkowego z malutką antenką.

- Niech zgadnę... Dla człowieka za burtą.

- Odrobiła pani lekcje.

- Już mówiłam, że mnie przeszkolono. Ale o czymś pan zapomniał.

- O czym?

- Nie zamierzam pływać o północy.

- Ja też nie. - Steve wsunął urządzenie do woreczka z barwnikiem i zamknął zapięcie na rzepy. - Dodam tylko, że każdy nadajnik ma indywidualny kod. W razie wypadku mostek natychmiast zna położenie i tożsamość osoby. Pokazać pani, jak wszystko pozapinać?

- Poradzę sobie.

Steve doprowadził ją do tablicy z listą nocnych ćwiczeń. Zawierała informacje o tym, kto startował, kto lądował, kto należał do załogi danego samolotu oraz jakie były cele konkretnej operacji.

- Dwa nazwiska podkreślono na czerwono - zauważyła panna Atwater. - Co to oznacza?

- Ci dwaj piloci są nowi. Tak zwani zieloni. To ich pierwszy rejs.

- Podporucznik Joshua Lamont - przeczytała na głos panna Atwater.

Nazwisko podziało jak cios w żołądek, lecz Steve nawet nie drgnął. Ciekawe, czy kiedykolwiek przywyknie do tego, że ma Lamonta pod swoją komendą. Samolot transportowy C-2 przetransportował go na pokład lotniskowca i Lamont zasilił jedną z załóg eskadry samolotów patrolowych o nazwie Prowler.

- Lamont pilotuje Prowlera numer 623 - zauważyła panna Atwater. - Mój kamerzysta sfilmował tę załogę podczas przygotowań do nocnego lotu.

- Kręci pani film? - Steve nie wierzył własnym uszom.

- Oczywiście.

Nie powinno go to zdziwić. Czasopisma już nie były tylko materiałami drukowanymi. Obecnie każda publikacja musiała zaistnieć w internecie, a władze wojskowe najwyraźniej dały swoje błogosławieństwo artykułowi autorstwa panny Atwater. W patriotycznych czasach media - całkiem nieoczekiwanie - stały się łaskawe dla sił zbrojnych, choć na ogół bywało inaczej.

- Lamont jest w powietrzu od godziny i czterdziestu pięciu minut - potwierdził. - Wkrótce będzie lądował.

- A ta druga załoga? Nazwisko Sean Corn też jest podkreślone.

- Porucznik Corn ma lądować zaraz po Prowlerze. Pilotuje jeden z Tomcatów.

- I obaj są nowi?

- Tak, ale obaj mają za sobą intensywne szkolenie. - Steve szybko przeszedł na mowę w stylu oficjalnym. - Lądowanie na lotniskowcu to

w zasadzie lądowanie awaryjne na pasie o długości stu czterdziestu czterech metrów. Margines błędu w podejściu wynosi tylko czterdzieści pięć centymetrów. Jeśli hak ogonowy natychmiast nie zaczepi o specjalny drut, samolot musi błyskawicznie iść w górę i pilot robi kolejne podejście. Sukces zależy od zbiorowego wysiłku całego zespołu. Każdy musi robić to, co trzeba w odpowiedniej chwili oraz wykonywać rozkazy. Wziąwszy wszystko pod uwagę, mamy bardzo mało wypadków.

- Ale się zdarzają.

- Owszem. - Czyżby w skrytości ducha marzyła o tym, aby być świadkiem wypadku?

- Często pan lata, kapitanie Bennett?

- Wystarczająco, aby zachować kwalifikacje.

- Brakuje panu latania?

- Latanie było kiedyś całym moim życiem, ale po prawie tysiącu lądowań już mnie to nie bawi. - Na widok jej oszołomionej miny siłą woli powstrzymał się od uśmiechu. - Jeśli szuka pani tutaj dramatów, to rozmawia pani z nieodpowiednim człowiekiem.

- Dlaczego?

- Już nie jestem modelowym przykładem. Dawniej uchodziłem za kowboja, potrafiłem spojrzeć innemu pilotowi prosto w oczy i zapewnić go, że jest

moim najlepszym przyjacielem, a później dołożył mu podczas treningu.

- Już pan tak nie postępuje?

- Przedstawię panią paru facetom, którzy to robią - odparł po chwili wahania.

Włożyli słuchawki, gogle oraz pilotki oznakowane skrzyżowanymi paskami taśmy odbijającej światło. Steve odsunął się na bok i gestem wskazał drogę. Wdrapali się na górę po kilku stalowych drabinkach, Steve otworzył metalową klapę i minęli znak „Uwaga na podmuch z dysz silników i rotacje śmigieł”. Przeszli przez platformę, weszli po paru schodkach i znaleźli się na pokładzie startowo-lądowiskowym.

Natychmiast smagnął ich w twarze silny, zimny wiatr, niosący ze sobą odór paliwa i płynu hamulcowego, w policzki zakłuły iskry podwiane z chropawej powierzchni pokładu. W osłoniętych goglami oczach Francine odmalowało się oszołomienie. To był zupełnie nowy, zdumiewający świat - pod stopami wibrował stalowy pokład, personel uwijał się żwawo, porozumiewając się gestami, samoloty i traktorki sunęły szybko w różne strony. Mimo późnej pory miał tutaj miejsce z pozoru chaotyczny, lecz precyzyjnie zaplanowany balet lądowania. W ogłuszającym hałasie normalna

rozmowa była niemożliwa, więc Steve tylko zatoczył ręką łuk, co oznaczało: „Witamy na ptasiej farmie”. Podmuch wiatru sprawił, że panna Atwater lekko się zachwiała, ale natychmiast uniosła kciuki.

Przeszli do wieżyczki. W centrum kontroli lotów dyżurny podoficer przesuwiał małe modele samolotów po mapie, aby w każdej chwili było wiadomo, gdzie znajdują się oryginały. Po uzyskaniu pozwolenia na wejście na mostek, Steve wprowadził reporterkę na wyższy poziom, gdzie znajdował się rząd ciemnych przegród z okienkami z nietłukącego się szkła. Rządził tutaj dowódca, a w ekranach monitorów, szklanych panelach reagujących na dotyk oraz kontrolnych wyświetlaczach odbijały się twarze pracującego tutaj personelu. Na jednym z dużych ekranów widać było pozycje wszystkich okrętów wojennych oraz innych obiektów na morzu w najbliższej okolicy. Steve kolejno wskazał niszczyciele, statki patrolowe, okręt dostawczy i paliwowy.

- A to co takiego?

- Prawdopodobnie japońska łódź rybacka.

W półmroku pomieszczenia rozjaśnionego tylko światłem przesączaającym się przez przyciemnione szyby, dowódca Shep Hardin szybko wydawał

rozkazy personelowi na pokładzie startowym. Przerwał jednak na chwilę, aby ich przywitać.

- Szczęściara z pani - powiedział do panny Atwater. - Wycieczka ze sławnym samotnym wilkiem w charakterze przewodnika.

- Dzięki, chłopie. - W głosie Steve'a zabrzmiała nuta sarkazmu. - Możemy już iść. Hardin nie jest zabawny. Chce pani popatrzeć na wszystko z Pokładu Sępów?

- Myślałam, że nigdy pan nie spyta.

Ruszyli na obserwacyjny balkon, z którego rozciągał się widok na cały pokład.

- Dlaczego Hardin nazwał pana samotnym wilkiem?

Steve wolałby, żeby tego nie usłyszała.

- Załoga lotniskowca to ludzie młodzi, większość poniżej dwudziestki piątki. Ja, w wieku czterdziestu pięciu lat, uchodzę za staruszka. - Nie chciał wdawać się w szczegóły swojej kariery zawodowej. - To są Prowlery. - Wskazał dłonią rząd zaparkowanych i unieruchomionych łańcuchami samolotów. - Używa się ich do elektronicznego rekonesansu i zakłócania.

Francine osłoniła oczy dłońmi, zbliżyła twarz do szyby i wyteżyła wzrok.

- Wyglądają na... sterane życiem.

Miała rację. Te samoloty w niewielkim stopniu przypominały swoje lśniące odpowiedniki ze zdjęć publikowanych przez marynarkę. Wyglądały tak, jakby trzymały się w całości tylko dzięki klejącej taśmie, drutowi do owijania bel siana oraz paście do maskowania uszkodzeń karoserii samochodowych.

- Te samoloty są w pełni funkcjonalne. Załoga pracuje całą dobę, aby utrzymać je w doskonałym stanie technicznym - zapewnił. Miał nadzieję, że reporterka nie zauważyła plam płynu hamulcowego na czarnym stalowym pokładzie. - Eskadra Prowlerów składa się tylko z czterech jednostek, więc są w częstym użyciu. Ten rejs prawie dobiega końca i ważne jest, aby samoloty były sprawne. Ładny wygląd jest bez znaczenia.

- A Lamont... ten „zielony”, jest w powietrzu na jednym z nich.

- Tak. Chce pani zobaczyć parę lądowań? - spytał, gdy zaczęła robić notatki.

- Za moment. - Francine szybko skończyła pisać w notatniku.

Steve polecił jej opuścić gogle, otworzył drzwi i oboje wyszli na zewnątrz. Wysoko nad dziobem na czarnym niebie pojawiły się dwie spadające gwiazdy i na moment pozostawiły za sobą dwie

złociste, równoległe linie. Stało się to tak szybko, że Steve nie zdążył pokazać ich reporterce. Trudno. Spadające gwiazdy nie były tutaj największą atrakcją. Z nieba raz za razem spływały samoloty, lądując na pokładzie z hukiem i zgrzytem gумы o metal. Haki ogonowe wychwytywane przez hamujące druty wzniecały chmary iskier.

Steve wręczył reporterce lornetkę i wskazał Whiteya Love'a, jednego z kilku oficerów kierujących operacją lądowania. Przez lornetkę na podczerwień obserwował on nocne niebo i przez radio rozmawiał z pilotami. Jego zadaniem było sprowadzenie ponad dwudziestotonowego samolotu, lecącego z szybkością prawie dwustu kilometrów na godzinę, na pas o długości zaledwie stu czterdziestu czterech metrów.

Wzdłuż rzędu zielonych świateł na pasie pojawił się intensywnie pomarańczowy sygnał, co oznaczało, że podchodzący do lądowania samolot był na odpowiednim kursie. Gdyby jego hak ogonowy nie zaczepił o przynajmniej jeden z pięciu hamujących drutów, mogłoby to oznaczać utratę samolotu wartego sześćdziesiąt milionów dolarów oraz może i życie załogi.

Steve zauważył na pokładzie przewodnika w białej bluzie oraz trzech mężczyzn z mnóstwem sprzętu elektronicznego.

- To mój fotograf, kamerzysta oraz ich asystent - wyjaśniła panna Atwater.

Steve miał nadzieję, że też zostali przeszkoleni w zakresie bezpieczeństwa na pokładzie. Kamerzysta niestety zachowywał się jak ostatni ignorant, filmując samolot toczący się w stronę windy. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że odrzut z dyszy silnika może wyrzucić człowieka na kilka metrów w powietrze. Przewodnik dosłownie w ostatniej chwili odciągnął kamerzystę na bezpieczną odległość i czteroosobowa grupa ruszyła w stronę mostka, gdzie Francine przedstawiła swoją ekipę Steve'owi. Po chwili do pomieszczenia wszedł jeden z podoficerów do spraw broni i amunicji. Jego czerwona koszula była poplamiona, a pół twarzy zasłaniały osmalone gogle, lecz Steve i tak rozpoznał Michaela Riverę.

- Wszystko w porządku? - Steve pytająco spojrział na dymiącą ochronną rękawicę, którą Rivera parę razy trzepnął o udo. Kamerzysta i fotograf natychmiast wycelowali w niego obiektywy.

- Tak, sir. Mieliśmy tylko mały problem z racami.
- Rivera zdjął gogle i znoszoną czerwoną pilotkę. -
Już po kłopotcie.

- Idźcie do ambulatorium. Niech zerkną na waszą rękę.

- Nie ma potrzeby, sir. Chciałem tylko na chwilę schować się przed wiatrem.

Steve cenił takich marynarzy, jak Rivera - pewnych siebie prawdziwych profesjonalistów. Pracowali z pełnym poświęceniem i nie dawali się zastraszyć przemądrzałym pilotom, którym kariera czasami uderzała do głowy. Rivera miał również ciepłą osobowość i filmowy uśmiech, dzięki czemu często brał udział w akcjach rekrutacyjnych. Teraz, po długiej wachcie, jego twarz była umazana smarem, lecz dzięki temu, przez kontrast, zęby wydawały się wyjątkowo białe.

Rivera natychmiast spodobał się pannie Atwater. Steve wyczytał to z jej twarzy i dokonał prezentacji, a Rivera najwyraźniej się ucieszył, prawdopodobnie zadowolony z tego, że na chwilę zostawił za sobą chaos pokładu startowego.

- Czym pan się tutaj zajmuje? - Panna Atwater wycelowała długopis w notatnik.

- Amunicją i uzbrojeniem, proszę pani. Podczas operacji powietrznych bomby i pociski są

składowane między wieżyczką a relingiem. Stamtąd ładuje się je do samolotów.

- I był jakiś kłopot z racami?

Rivera skinął głową.

- Samoloty F-16 używają ich dla zmylenia pocisków naprowadzanych termicznie. Każda rasa zawiera osiemnaście wewnętrznych jednostek, a każda jednostka spala się w temperaturze wyższej niż osiemset siedemdziesiąt stopni w skali Celsjusza, więc musimy bardzo uważać. Osobiście mam dodatkowy powód do szczególnej ostrożności. - Rivera uśmiechnął się radośnie. - Rano dostałem mejla od żony. Jej lekarz potwierdził, że będziemy mieć synka. Naszego pierworodnego. - Niemal pękał z dumy.

- Zdąży pan do domu na narodziny?

- Nie, ale ona ma w domu sporo ludzi, którzy ją wspierają.

- A gdzie jest dom?

- W bazie marynarki wojennej na wyspie Whidbey w stanie Waszyngton. Żona kapitana Bennetta jest bliską przyjaciółką mojej Patricii. - Rivera z wdzięcznością spojrział na Steve'a.

Nie patrz tak na mnie, pomyślał Steve. Nie miał pojęcia, co porabia Grace, ale nie zdziwił się, że pomaga żonie młodego marynarza. Aby ukryć

zmieszanie, spojrział na zewnątrz, podczas gdy przewodnik eskortujący reporterów włączył się do rozmowy z Riverą.

A na zewnątrz... coś się działo. Steve spędził na lotniskowcu wystarczająco dużo lat, aby natychmiast wyczuć, że coś jest nie tak. Załoga przyjmująca kolejny samolot zaczęła zachowywać się trochę inaczej. Zmiana była subtelna, praktycznie niezauważalna nie tylko dla reporterki, lecz nawet dla większości załogi na pokładzie.

Steve pod byle pretekstem oddalił się od grupy i natychmiast spostrzegł, że oficer Bud Forster mówi coś szybko do mikrofonu. Bud włączał się do akcji przyjmowania samolotów tylko wtedy, gdy działo się coś złego.

- Prowler sześć dwa trzy - powtórzył Bud, a jego twarz była jak z kamienia.

Steve dobrze znał taką minę. I wiedział, o który samolot chodzi. Miał nim lądować Lamont i sytuacja najwyraźniej była groźna. Steve nie zamierzał wchodzić w kompetencje Buda. Chciał tylko wszystko obserwować, lecz nagle zauważył, że Francine Atwater wraz z fotografami idzie za Riverą do zbrojowni, a ich wojskowy przewodnik gdzieś się zapodział.

Żaden z cywilów jeszcze nie zdawał sobie sprawy z rosnącego napięcia, ale Steve już je wyczuł i szybko podążył na pokład. Zamierzał zgarnąć gości i zapędzić ich w jakiś kąt jak stado owiec. Rivera, pomyślał gniewnie. Już ja dam ci popalić.

I zaraz przypomniał sobie, że to on miał zajmować się reporterami, ale ich zostawił. Idąc w stronę zbrojowni, odniósł wrażenie, że przy wyrzutni rac za Riverą i cywilami zamigotały iskry i pojawiła się smuga dymu.

Zamrugnął i przejechał rękawicą po goglach i znów zobaczył iskry. Wiedział, że jest za daleko, aby go ktoś usłyszał, lecz mimo to wykrzyczał ostrzeżenie, i jednocześnie gestami zasygnalizował, aby włączono alarm przeciwpożarowy. Podczas operacji lotniczych na pokładzie zawsze znajdował się wóz strażacki oraz zespół strażaków gotowych gasić ogień wodą oraz specjalną pianą.

Rivera, który znajdował się najbliżej wyrzutni, błyskawicznie się odwrócił. Przez moment szukał wzrokiem źródła ognia i Steve'owi przemknęło przez myśl, że Rivera nie zauważył dymu. Ale natychmiast chwycił płonący cylinder i ruszył do brzegu pokładu. Rozległ się głośny trzask przypominający strzał ze strzelby, smuga iskier

gwałtownie rozdarła ciemność nocy, Rivera upadł. Całe jego ramię wyglądało jak płonąca pochodnia.

Steve pognał w jego stronę, padł przy nim na kolana i zerwał z siebie kamizelkę ratunkową. Stłamsił nią płomienie na ramieniu i plecach Rivery, jednocześnie wołając o pomoc, choć wiedział, że nikt go nie usłyszy. Ale teraz już nie miało to znaczenia, bo wszyscy na pokładzie zobaczyli, co się dzieje. Steve chciał zostać z Riverą, aby go trzymać i dodawać otuchy, lecz cylinder nadal dymił, a jego zawartość paliła się z intensywnością, którą Steve czuł nawet na odległość metra.

Jeśli coś dymi, należy się tego jak najszybciej pozbyć. Taka była podstawowa zasada ochrony przeciwpożarowej, każdy rekrut to wiedział.

Steve chwycił rączkę cylindra i ryknął z bólu, bo ochronna rękawica natychmiast zajęła się ogniem. Piekielny pojemnik ważył chyba tonę, lecz Steve jakoś zdołał dobiec z nim do brzegu pokładu.

Poczuł, jak ogarnia go fala przeraźliwego żaru i światła, a pod stopami nagle pojawiła się próżnia. Miał wrażenie, że jest wsysany w dzikie tornado. Gdzie, u licha, podziąła się ochronna siatka? Była to jedyna sensowna myśl, jaka przemknęła Steve'owi przez głowę, gdy został wyrzucony

w powietrze. A jedyny dźwięk, jaki dotarł do jego uszu mimo porywu wiatru, był ostrym, urywanym sygnałem dochodzącym z mostka nawigacyjnego. Ten sygnał rozbrzmiewał tylko w sytuacji, której wszyscy na lotniskowcu obawiali się najbardziej. Oznaczał „człowiek za burtą”.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).